Nr. 16. Warszawa dnia 10 (22) Kwietnia 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 3 k. 60	rocznie . . . rs. 5
półrocznie. . „ 1 „ 80	półrocznie . „ 2 k. 50
kwartalnie. . „ 90	w Austryi roczn. 9 guld.
miesięcznie . „ 30	w Prusach „ 5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 30 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola: w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

SZKOŁY ELEMENTARNE

przy zakładach fabrycznych.

Jeżeli kształcenie elementarne stanowi podwalinę wszelkiej edukacyi wogóle, jeżeli stanowi ono grunt dla dalszego rozwoju umysłowości człowieka — to uważane jako czynnik podniesienia skali oświaty w masach, tym większej nabiera wagi—Dla mas bowiem, kształcenie elementarne, jest wogóle, a u nas nadewszystko alfą i omegą nauczania, dla mas początkowa edukacyja jest zarazem ostatecznym rezultatem wiedzy i kulminacyjnym punktem zaspokajania potrzeb duchowych. Wszędzie też już prawie, we wszystkich dbających o swój moralny i materyjalny postęp społeczeństwach, kształcenie elementarne jest przedmiotem ogólnego i jak najbardziej ożywionego zajęcia. Zarówno państwa jak i społeczeństwa kwestyją szkół elementarnych opiekują się czynnie, starając się o jej przeprowadzenie w najkorzystniejszy dla ogółu sposób,—usiłując słowem, nadać jej znaczenie i wartość jednego z najdzielniejszych, cywilizacyjnych bodźców. Wszędzie też a przynajmniej w wielu bardzo krajach, w celu upowszechnienia elementarnej nauki tworzą się specyjalne instytucyje, organizują stowarzyszenia i t. p. Wszędzie słowem, ważna ta sprawa stoi na porządku dziennym, powołując ku sobie najdzielniejsze umysły, (Diesterweg i inni) ściągając największą, rzec można, część środków jakiemi dane społeczeństwo, w danych również warunkach i danej chwili rozporządzać jest w stanie.

A u nas mianowicie, jak też sprawa ta się przedstawia? Chcąc dać w tym względzie, kategoryczną odpowiedź, musielibyśmy napisać co najmniej kilkoarkuszową rozprawę. Gdy jednakże do krytycznego tego rodzaju sprawozdania nie zobowiązujemy się bynajmniej, gdy przeciwnie z obszernej tej kwestyi, wybraliśmy na ten raz jeden tylko jej punkcik, dość nam będzie poprzestać na zaznaczeniu faktu, że społeczeństwo nasze, kształcenie elementarnego, nie wzięło, jak dotychczas, zbyt gorąco do serca, że nie pojęło jego znaczenia w rozległości, dosięgającej najważniejszych i najdroższych interesów zbiorowych, — że przeto i kwestyi samej, nie stara się zbliżyć do właściwego jej stanowiska i wprowadzić na grunt, bądź co bądź, *możliwych* rezultatów praktycznych. Fakt ten zaznaczamy tym śmielej, że odnośnie do upowszechniania elementarnej wiedzy, przeszkody zewnętrzne, biorąc rzecz ściśle, tłomaczyć nas absolutnie nie mogą. Środek bowiem ten edukacyjny w zestawieniu z innemi, ma tę właściwą sobie i charakterystyczną cechę, że jak z jednej strony przeprowadzanie go praktyczne nie wymaga zbyt wielkich materyjalnych zasobów i nadzwyczajnych wysiłków, tak z drugiej znów, niezależnie od najtrudniejszych choćby okoliczności zewnętrznych, przy dobrej i rozumnej woli ogółu, przy rozumnie pojętym obowiązku klas oświeceńszych względem nieoświeconych, przeprowadzanie go zawsze i wszędzie urzeczywistnianym być może.

W ten a nie inny sposób postawiliśmy kwestyją dla dwu mianowicie powodów, raz, że popierając sprawę tworzenia szkół elementarnych przy zakładach fabrycznych, chcielibyśmy, ze strony niektórych, zbyt pochopnych sędziów uniknąć zarzutu czczej „projektomanii“ —powtóre, że jeżeli gdzie, to na tym właśnie punkcie, to w życiu warstw fabryczno-robotniczych, kształcenie elementarne, z potrąceniem faktów wyjątkowych, w ostatecznym rzec można zaniedbaniu zostaje. Prowincyjonalne np. klasy ludności wiejskiej mają już dziś swoje, kosztem gminy utrzymywane szkółki, ludność małomiasteczkowa posiada je również. A jakkolwiek tak jedne jak drugie tego rodzaju zakłady — swym *rzeczywistym pożytkiem nie sięgają zbyt daleko*, to jednak przy współudziale zwłaszcza miejscowych warstw

ŚLADY ŻYCIA.

XVI.

Tyle życia, ile... w czynie.

Sprawa zapisu Stanisława Staszica po półwiekowym przeszło odleżeniu się w aktach, podjętą nareszcie została. Zapis uczyniony w dniu 20 Sierpnia 1821 roku, wynosił 200,000 złp. Summa ta, umieszczona w banku, wzrosła obecnie do 1,000,000 złot. pol. Według brzmienia testamentu, zapis przeznaczonym został przez ofiarodawcę „na zaprowadzenie domu zarobkowego w Warszawie“ lub przynajmniej „sal zarobkowych“ przy jakimś Instytucie, lub jednym ze szpitali warszawskich. Otóż Warszawska Rada Dobroczynności publicznej — sprawą tą zająwszy się z urzędu, poleciła jednemu z prawników tutejszych wygotowanie projektu, któryby co do użycia funduszu, najistotniej odpowiadał społecznym potrzebom chwili obecnej.—Projekt ten, ma następnie zostać oddanym pod naradę publiczną, a o ile wiemy — treścią jego ma być założenie szkoły rzemiosł w Warszawie. Jak dotąd wszystko jest jak widzimy dobrze, ale... niezupełnie. — W obec mnóstwa najróżnorodniejszych i zarazem najpilniejszych potrzeb naszych wewnętrznych, w obec faktu, że przy ekonomicznej biedzie, zaspakajanie potrzeb tych nie przychodzi nam ze zbyteczną łatwością, użycie tak poważnej a gotowej sumy—jest sprawą, mającą w oczach ogółu pewnej doniosłości znaczenie, sprawą przeto, godną głębszej rozwagi i wyczerpującej dyskusyi. Z drugiej zaś strony, niezależnie od wszystkich ważnych i naglących potrzeb, iść tu zdaniem naszym również powinno o to, aby wola testatora nie została spaczoną, by zamiary ofiarodawcy, a tym samym i duch samego zapisu został dokładnie i wszechstronnie zbadanym — by przeto i owa niezbędna tu dyskusyja, miała na czym się oprzeć. Przedewszystkim więc, jeżeli obrady publiczne nie mają się kręcić w błędnym kółku luźnie rzucanych wniosków, projektów i projekcików, należałoby „Radzie“ zajmującej się tą kwestyją, ogłosić *cały tekst testamentu.*—Wtedy bowiem tylko, bez względu na ukazać się nam mający memoryjał gotowy, szersze i ogólniejsze debaty, jak z jednej strony stawałyby się dziś już możliwe i jak to powiemy przystępne, tak z drugiej znów,—samej sprawie zapisu, narady te oddaćby mogły rzeczywistą usługę.

* *
*

Przed niedawnym czasem zaznaczyliśmy w „śladach życia“ wiadomość, iż warszawscy właściciele domów, organizując między sobą ligę pod nazwą: „*drzeć łyka dopóki się dadzą,*“ zamierzają od S-go Jana r. b. podnieść „komorne o 25%. Otóż wiadomość ta niestety nie była ani mylną ani przedwczesną, lecz przeciwnie, bez względu na przybywającą liczbę domów w Warszawie, co do słowa się sprawdza. Panowie posiadacze kamienic nakładają na mieszkania ceny dotychczas niepraktykowane,

inteligentnych, przy czynnej ze strony tych ostatnich opiece, mogą one bądź co bądź stanąć wyżej i oddziaływać z szerszą nieco doniosłością praktyczną. Cokolwiek zresztą, o istniejących obecnie miejskich i wiejskich szkołach elementarnych moglibyśmy powiedzieć, pocieszyćby nas musiał sam fakt ich istnienia. Inaczej natomiast rzecz ta przedstawi się nam w razie odniesienia jej do (zarówno warszawskich jak i prowincyjonalnych) zakładów przemysłowo-fabrycznych. Dość liczna stosunkowo, w zakładach tych ludność miejscowa, nietylko że własnych szkółek nieposada o-niemal wcale, lecz co więcej, to przy dzisiejszych warunkach jej sytuacyi osobistej, o potrzebie elementarnego kształcenia dzieci, nie jest w stanie pomyśleć, nie jest w stanie potrzebą tą bezpośrednio się zająć i jej ważności samowiednie ocenić. Robotnik pracujący dwanaście godzin dziennie, pracą tą absorbowany wyłącznie, przygnieciony troską o chleb powszedni, a przytym wszystkim nieodznaczający się bynajmniej umiejętnością użycia czy też zaoszczędzenia ciężko zarobionego grosza, może co najwyżej myśleć o nędznym wyżywieniu swej licznej częstokroć dziatwy—może wnikać w potrzeby jej fizyczne gdy natomiast wszelkie potrzeby duchowe stają się dlań rzeczą obojętną. To też w istocie, los tych dzieci, dzieci robotników fabrycznych wzruszyłby niezawodnie każdego, kto w codzienne życie uboższych warstw pracujących umiałby wpatrywać się bliżej — kto życie to, zechciałby badać i rozpatrywać bezstronnie. Jakaż bowiem owym secinom dzieci robotniczych ukazuje się przyszłość? Syn, dajmy na to, drobnego choćby i ubogiego rzemieślnika, może jeszcze przy ojcowskim warsztacie wyuczyć się rzemiosła, może więc tym sposobem, zapewnić sobie jakikolwiek środek utrzymania, jakąkolwiek możność egzystencyi, i nawet odnośnie zwłaszcza do prowincyi, gdzie rzemiosła przechodzą z ojca na syna, sposobem familijnego spadku, tak też w rzeczy samej się dzieje. Takniemniej jest i na wsi—co do familijnego przekazywania zajęć rolniczych. Co atoli przekazać ma synowi pracujący z dnia na dzień robotnik fabryczny? Czy zapewni mu może przez siebie zajmowane miejsce? Ależ miejsce to i dla niego samego nie jest bynajmniej pewnym, a tym mniej może być stałym. Przekazuje mu więc... rzadko kiedy co więcej nad moralną, umysłową i materyjalną nędzę. Z dzieci też robotników fabrycznych rekrutuje się dziś, w największej części ów wzrastający szybko dziecięcy proletaryjat uliczny, z tej samej robotniczej sfery wyrastają przyszli lokatorowie więzień, stąd osady rolne, największą może liczbę kandydatów będą mogły pozyskać — i dziś też zwłaszcza, gdy bezpłatne terminatorstwo nietylko w Warszawie lecz i na prowincyi ustępuje już miejsca nauce płatnej, gdy przeto dla dzieci ubogich nauka rzemiosłowa, absolutnie niedostępną się staje, liczba ta, liczba kandydatów do osad rolnych tylko zwiększać się może. Obok atoli tych jasnych zdaje się argumentów za potrzebą szkół fabrycznych niemniej silnie przemawia inny nadto wzgląd jeszcze. Wszakże dziś o podniesieniu zaniedbanego długo fabrycznego przemysłu mówimy i piszemy wiele; wszak, ogół nasz a przynajmniej część jego myśląca i trzeźwa przychodzi do przekonania, że rozszerzeniem skali fabrycznego przemysłu, warunkuje się, w znakomitej części, nasze przejście z niemocy do ekonomicznej siły.—Zewsząd też prawie dają się słyszeć liczne w tym względzie głosy zachęty, zewsząd słyszymy nawoływania do zakładania fabryk, do rozwoju produkcyi *wytwórczej*. Że głosy podobne mają za sobą najsłuszniejszą racyję, że przemysł fabryczny, dziś zwłaszcza, w obec pozyskania nowych dróg zbytu, stanowi w stosunkach naszych ekonomicznych najżywotniejszą kwestyją i zasadniczy punkt wyjścia, nie potrzebujemy dowodzić. Aby jednak dążność tego rodzaju mogła być zrealizowaną co rychlej i z całą doniosłością swych następstw, aby przemysł fabryczny, o którym dziś tak wiele mówimy rozrósł się w rzeczywistości, potrzeba nam dążyć nietylko do zakładania nowych fabryk i rękodzielni, lecz pomyśleć nadto i pomyśleć przedewszystkim, o wyrobieniu na tym polu zdrowych sił produkcyjnych, o podniesienie przeto moralnego i materyjalnego bytu, dzisiejszych warstw robotniczych. Potrzeba nam i na tym punkcie przeprowadzić odpowiednie ulepszenie odpowiednią reformą; potrzeba nam tu słowem, ograniczać nędzę a rozszerzać dobrobyt, wytwarzając nową poniekąd, klasę ludności, klasę czysto fabryczną. Jeżeli zaś znów zgodzimy się na to, że podstawowym czynnikiem reformy podobnej, jest podniesienie tu zbyt niskiego stopnia oświaty, jest raczej zaszczepianie tej ostatniej wśród pokolenia młodego, zaszczepienie jej z gruntu, to przyznać musimy zarazem, że tworzenie szkół elementarnych przy zakładach fabrycznych zdaje się być sprawą na czasie — sprawą, której lekceważyć nie można, a tym mniej zaliczać do przedwczesnych mrzonek.

Jeżeli jednak gdzie, to w tym właśnie razie niedość samych teoretycznych wniosków. Tu potrzeba działalności — praktycznej — potrzeba zdrowo pojętej i umiejętnie przeprowadzanej inicyjatywy *czynnej?* Tu też przeto dwa głównie nasuwają się nam pytania:

1-o. Kto w zakładaniu elementarnych szkółek fabrycznych ma przyjąć czynny i bezpośredni udział, a raczej kogo *miancwicie* udział taki najsilniej obowiązuje—!—

2-o. Z pomocą jakich środków—szkółki podobne mogą być utrzymywane następnie.

Co do pierwszego, to —niewdając się w długie wywody i określenia przedwstępne — powiemy wprost, że inicyjatywa o jaką idzie, obowiązuje bezpośrednio panów pracodawców — że *inicyjatywę w zakładaniu szkółek fabrycznych — dać winni właściciele fabryk.* — Dla czego? Czy dla względów filantropijnych? Bynajmniej — Czy dla zadosyć uczynienia ciążącym na nich obowiązkom obywatelskim? Tak zapewne w części. Głównie jednak, obowiązywać by ich tu winien rozumnie i szerzej nieco pojęty interes własny. Dziś bo przecież, jak z jednej strony wszystko zdaje się dążyć do wytworzenia harmonii między kapitałem i pracą, jak we wszystkich wyrobionych już społeczeństwach ideą ta tkwi w rzędzie najważniejszych zadań społecznych — tak z drugiej, wiemy nie mniej i o tym że urzeczywistnienie idei tej w danym kole stosunków ludzkich, że wytworzenie pewnej nietylko materyjalnej lecz i moralnej spójni między pracodawcą a pracownikami, dla obu tych stron sprowadzać zawsze może tylko dodatnie tylko pożądane następstwa. Praktyka życiowa stwierdziła już dostatecznie i uzasadniła jasno że powodzenie [przemysłowych wogóle a fabrycznych w szczególności przedsiębiorstw uzależnia się głównie, jeżeli nie najprzeważniej moralnym i ekonomicznym stanem przedsiebiorstwa, te osługujących jednostek, że im wyższy stopień oświaty i dobrobytu ostatnich tym większa pomyślność tym pewniejszy rozwój pierwszych. Im lepiej pracownikom tym lepiej pracodawcy. Fakt to stwierdzony, namacalną praktyką zasada sama

---

bajeczne biednych zaś lokatorów ogarnia jeżeli już nie rozpacz to jednozgodny lament.—Lament ten atoli nie pomaga, skargi przebrzmiewają, a głos opinii jest głosem „wołającego na puszczy.“ — W gruncie jednak rzeczy, kwestyja mieszkań, dziś już zasługuje na bliższą niż kiedykolwiek uwagę. Wszakżeż to całym secinom rodzin urzędniczych—opłata najskromniejszego choćby lokalu, zabiera połowę całorocznej pensyi, wszak, w obec kwestyi komornego, życie rodzin tych, narażonym zostaje na materyjalną nie już biedę, ale najzwyczajniejszą nędzę. Jeżeli więc ten systematyczny wyzysk, ze strony panów właścicieli domów pójdzie dalej i dalej—jeżeli niezależnie od zwiększającej się ilości domów, tworzyć oni będą absolutne między sobą *zmowy*, a zamiast pobieranego 25% do 30% procenciku, zażąda im się 40 albo więcej od sta w takim razie, pytamy się, nie bez trwogi, do czego w rezultacie dojdzie?—Rada więc, i to rada doraźna natychmiastowa — staje się konieczną. Ba... rada... ale... jaka? — „Nie wolno podwyższać nikomu komornego.—Przepis niniejszy obowiązuje aż do wygotowania odpowiedniej taksy.“ — Za wydaniem takiego rozporządzenia wotuje „Przegląd Tygodniowy“ widząc w tym jedyny, jak na teraz środek ograniczenia niesumiennej eksploatacyi biednych lokatorów, przez kamienicznych możnowładców. — Wyznajemy, że wniosek podobny o ile zainteresował nas żywo, o tyle dał nam nieco do myślenia. — Dziś bo przecież, gdy wszystko za swobodą ekonomiczną coraz głośniej przemawiać się zdaje—gdy zniesione taksy na niektóre artykuły żywności, zaliczają się do arcyzacofanych już rzeczy—dziś pojęcia te wznawiać i powoływać do życia, zdaje się być co najmniej niewłaściwym. Z drugiej jednakże strony, wniknąwszy głębiej, w skutki tego rodzaju monopolu, skutki dające się określić faktem szerzenia społecznej biedy i proletaryjatu, mimowoli nasuwa się pytanie, czy w pewnych wyjątkowych położeniach, użycie pewnych również wyjątkowych i choćby nawet zaradykalnych środków, nie staje się niezbędnym? Dzięki absolutnemu i w następstwach szeroko szkodliwemu postępowaniu panów właścicieli domów — ta ostatnia uwaga, przeważa stanowczo nad pierwszą. Głosując przeto wspólnie z „Przeglądem“ za zabronieniem podwyższania komornego, do czasu ustanowienia taksy,—nie wątpimy, że wniosek ten znajdzie we właściwej sferze odpowiednie poparcie.

* * *

Ktokolwiek znaczenie dziennikarstwa pojmuje szerzej i głębiej, ten wie dobrze, jak ważnym jest w piśmie, nadewszystko dziennym, zadanie feljetonisty. Feljeton bowiem właściwie ma przedstawiać wyrazisty a treściwy obraz w danej chwili społecznego ruchu i życia, feljetonista ma notować skrzętnie i podawać czytającemu ogółowi najżywotniejsze fakty — feljetonista ma odzwierciadlać wyraz potrzeb i ducha chwili bieżącej. Zadanie zaś takie, jeżeli gdzie to u nas—tym sumienniej spełnianym być winno, a jednak u nas właśnie wprost przeciwnie się dzieje. Bierzesz np. do ręki jedno z pism dziennych i spostrzegasz tygodniowy feljeton zatytułowany „Bez tytułu.“ Zaciekawiony, czytasz chciwie, szukając żywotnych, interesujących faktów i niestety zamiast faktów, spotykasz długą rozprawę... „o zapalaniu cygar na ulicy“ (!!). — [Zawiedziony, przyrzekasz sobie w duchu, że feljetonów „Bez tytułu“ więcej czytać nie będziesz. W jakiś czas jednak, bierze cię ta sama chętka dowiedzenia się czegoś nowego ze społecznego życia— i znów „bez tytułu“ wpada ci w ręce. No...i w rzeczy też samej spotykasz, tą razą, arcyważne notaty.—Dowiadujesz się mianowicie, po przeczytaniu szpalt pięciu, że w Warszawie odbyły się wielkanocne kwesty— i że szanowny autor feljetonu żali się, iż nie zna osobiście (!) wielu z literatów warszawskich.—Fakt w istocie go-

sama przez się silna i ustalona — a gdzieindziej jak np. w Anglii na polu — fabryczno-przemysłowego ruchu domiminująca głównie.

Tam jak wiadomo panowie pracownicy, robią oddawna już wielkie i kosztowne usiłowania w celu podniesienia robotniczego bytu. Własnym kosztem—zakładają oni miejscowe szkółki tworzą fabryczne bibljjoteki i bogate muzea: urządzają domy zabaw, organizują kasy oszczędności, wznoszą szpitale. „Obecnie powiada Taine w swych" Zarysach Anglii, we wszystkich miastach przemysłowych angielskich znajduje się jedna lub kilka szkół robotniczych których dobroczynne skutki wysławiają powszechnie. Gdy królowa zwiedzała Manschester, *sześćdziesiąt tysięcy* dzieci ze szkół fabrycznych przeszło porządkiem przed nią śpiewając „*God save the queen*" (Boże strzeż królowa) Podziwiam nieskończenie, dodaje tenże znakomity myśliciel. ducha wszystkich tych instytucyj, szlachetną i rozsądną inicyjatawę ludzi prywatnych (procodawców) którzy samodzielnie własnym kosztem ulepszają rzecz publiczną i załatwiają sprawy państwa nie odwołując się do państwa. Tu oddają usługi olbrzymie i użyteczne. Działać samoistnie, własną kieszenią i własnemi środkami, stworzyć popęd a nie oczekiwać go, to dla nich jest rzeczą naturalną".

W istocie przykład to godzien zarówno podziwu — zarówno powszechnego poklasku jak i naśladowaniu — które też w wielu krajach stanowczo już znalazł. Wszędzie prawie rzec można, stan robotników fabrycznych wchodzi na drogę pewnej widocznej poprawy, jak znów poprawa ta wybitniej głównie w dostarczaniu odpowiednich środków oświaty a przedewszystkim w tworzeniu miejscowych szkół fabrycznych. Lecz pomijając przykłady zagraniczne, możemy przecież coś podobnego i u siebie już spotkać. Wszakże przy fabryce braci Hordliczków (w osadzie Czechy) pod Garwolinem szkoła elementarna istnieje już oddawna, wszak zakład podobny posiada również oile wiemy i fabryka Żyrardów. Jeżeli więc znalazła się tu inicyjatywa wyjątkowa to dla czego nie mogła by ona być ogólną dla czego wszyscy nasi posiadacze fabryk i przemysłowych zakładów nie mógliby również zrozumieć *interesu własnego*. Czy na zrozumienie go takie, byłoby jeszcze zawcześnie? Nie przypuszczamy. Czy potrzeba tu może wielkich stosunkowo nakładów? Bynajmniej. Względnie do zysków i korzyści niezawodnych, koszta nie zdają się być przesadne, ile że założona szkółka pozyskawszy pierwszą podstawę bytu pozyskawszy mianowicie lokal, nauczyciela i niezbędne utensylija — mogłaby śmiało następnie utrzymywać się kosztem samych już robotników. Jak bowiem dziś ci ostatni oddają procent dziennego zarobku na utrzymanie własnych „kas wsparcia" tak wówczas procent podobny (który tam np. gdzie pracuje 500—1,000 lub więcej robotników byłby stosunkowo nie wielki, niewiele przeto na uszczuplenie materyjalnych potrzeb wpływający) składaćby mogli na utrzymanie własnej szkoły fabrycznej.

Szczegółowego planu szkółek podobnych nie myślimy tu kreślić—tym więcej że takowy na początek przynajmniej, mógby być wziętym z zakładów już istniejących. Podnosząc zaś i uzasadniając myśl samą—chcielibyśmy zwrócić na nię uwagę interesowanych tu najbliżej pp. pracodawców, chcielibyśmy przypomnieć im nie filantropijny bynajmniej, lecz prosty i najzwyczajniejszy bo z interesem ich własnym ściśle spleciony obowiązek. Myśl zresztą tworzenia u nas szkół elementarnych przy zakładach fabrycznych coraz żywiej i szerzej przyjmować się poczyna. O szkole bowiem takiej, pomyślała (jak to w swoim czasie donosiły pisma) kolej Wiedeńska a jest nadzieja że inne tego rodzaju instytucyje, pójdą za jej przykładem. Niech więc tylko dobre chęci takie co rychlej zobaczą się z życiem,—niech każdy faktyczny przykład działa szeroko i... zaraźliwie— niech wreszcie opinija zwraca się tu z większym niż dotychczas naciskiem, a szkółki elementarne fabryczne powstając coraz liczniej i zaszczepiając oświatę na najżyźniejszym, najwięcej może obiecującym gruncie, jak pierwotnym ich inicyjatorom opłacą się sowicie, tak społeczeństwu trwałe a niezawodne przyniešć mogą korzyści...

J. Jeleński.

BEZ OPIEKI

SZKIC POWIEŚCIOWY,

napisała

Maryja Szeliga.

(Ciąg dalszy).

Poznajemy z tego zwrotu mowy pana Eugenijusza, że miał dość smutne o kobietach wyobrażenie. Żona jego miała słuszność twierdząc że ją szpieguje i czuwa bezustannie. Lecz czy to było wynikiem jego zazdrosnej natury, czy anielska Zefiryna wpłynęła sama na powzięcie tych przekonań, zobaczym to i osądzim w dalszym ciągu powieści, z faktów!—

Wieczorem, państwo Eugienijuszowie pojechali do senatorowej, a Emilka, zadowolona że może mieć wolną chwilę, siedziała w swym pokoju nucąc z cicha nigdy nie zapomnianą melodyją owego walca. Potym przyszło jej na myśl, że dawno nie widziała Leonki, która nawet nie odpisała na list pisany pierwszego dnia przybycia po katastrofie — tęsknota ją ogarnęła za przyjaciołką, i z właściwą sobie żywością wybrała się aby odwiedzić ukochaną duchową siostrzyczkę. Wybrawszy się w pięć minut, zbiegła na dół, i rozmarzając się wspomnieniami pierwszej zabawy, poznania Albinka, który z każdym dniem stawał się w jej wyobraźni piękniejszym, lepszym, bardziej idealnym!— dążyła do mieszkania rodziców Leonki.—

Doprawdy jesteś poczciwą, żeś mię sobie przypomniała!— przywitała wchodzącą Leonia, właśnie myślałam o tobie!

— Wszak donosiłam ci o zmianie mego losu!—odezwała się nieco ździwiona Emilka.

— Jakto! zdecydowałaś sięprzyjąć pana Makarego!

— Czymże zasłużyłam na podobne przypuszczenie?!—odparła dotknięta w serce dziewczyna.

— No! proszę się nie obrażać! Choć do salonu, mamy gości, jak zawsze, dodała z wyrazem pretensyjonalnego znużenia.

Emilka mimowoli posmutniała, lecz weszła razem z przyjaciółką, króra jej przedstawiła trzech młodych ludzi, starannie ubranych, i uperfumowanych.

— Moi konkurenci!—szepnęła Emilce do ucha nieznacznie,—ten z bródką to pan Antoni, przewróciło mu się już w głowie kompletnie z afektu, jaki do mnie czuje. Drugi w szafirowym krawacie, to pan Hieronim, bardzo porządny i bogaty młodzian, tylko fatalnie głupi z przeproszeniem, ten trzeci to pan Edward— ale... ten jeszcze niepewny — jest dopiero dwa razy! Emilka nie mogła uszom własnym wierzyć. — Co ty mówisz Leonko!! a Józio?

— No! bywa co niedziela!

— A! posądziłam cię..

---

dny feljetonu „bez tytułu."—W każdym jednakże razie, od feljetonów „bez tytułu" i... *bez treści*... zachowaj nas Panie!

* *
*

Zdaje się przecież i są tego zresztą namacalne dowody, że ogół nasz — przechodząc w stadyjum trzeźwej i poważniejszej myśli—obok wielu innych właściwości ujemnych, pozbywa się niemniej i wady *zagranicomanii*, że przestaje wierzyć, iż to tylko może być dobrym—co uderza zagranicznym stemplem. Mimo to jednak, zdarzają się przedsiebiorcy—którzy nie uznając widocznie tej zmiany na lepsze, ową dość już zestarzałą i niemało szkody przynoszącą nam wadę, starają się, że tak powiemy wskrzesić, starają się ją podsycać i.... eksploatować. — Dowodem zaś tego jest, mająca już wkrótce podobno zawitać do Warszawy *na stale*, trupa artystów (??) dramatycznych *francuskich*. W obec stanowiska, jakie scena nasza swojska zdołała sobie wyrobić—w obec tych sił dramatycznych, jakie mamy, a obok których niejeden zagraniczny talent blednie i na efekcie traci — czy czasem panowie dostawcy tego nowego towaru, nie wyjdą tak np. jak założyciele ślizgawki na Saskim placu, a przeciwko czemu, mówiąc nawiasem, nie mielibyśmy nic do nadmienienia... Z góry zresztą pozwolimy sobie przypuszczać, że publiczność nasza, a przynajmniej część jej myśląca, mając do popierania scenę własną i talenta swojskie,—świeżemu temu pomysłowi nie przyklaśnie bynajmniej—i niefortunność jego *dotykalnie* wykaże.

* *
*

Rozpatrujemy się właśnie w sprawozdaniu z czynności Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego za rok 1873. Fundusze Towarzystwa z remanentu, jako też ze składek i patentów wynosiły ogółem rs. 1172 kop. 83; że zaś wydatki doszły do rs. 801 kop. 91, przeto pozostało na rok bieżący funduszu rs. 370, kop. 92.—Członków Tcwarzystwo liczyło: czynnych 38, honorowych 45. Istniejąca przy Towarzystwie kasa wsparcia podupadłych farmaceutów oraz wdów i sierot po farmaceutach pozostałych, posiada funduszu na rok 1874 rs. 12,650, w roku zaś 1873 miała dochodu z zapisów i innych źródeł, rs. 2,943 kop. 78½. Wydatki na administracyją, tudzież inne potrzeby, wynosiły rs. 75 kop. 91; udzielono wsparć 35 osobom w sumie rubli srebrem 1195. Staraniem Towarzystwa odbywały się w ciągu roku, bezpłatne wykłady dla początkujących farmaceutów, przez pp. Mrozowskiego, Ołtaszewskiego, Manduka i Huberta; nadto od początku r. b. Towarzystwo własnym kosztem wydaje czasopismo p. t. „Wiadomości farmaceutyczne."—Oto jest streszczony obrazek działań Towarzystwa Farmaceutycznego. Z zestawionych tu danych, widzimy jak na dłoni, że Towarzystwo swój cel i zadanie pojęło w całym tego słowa znaczeniu. — Mimo bowiem szczupłych stosunkowo sił i zasobów wewnętrznych, rozwija jednak swoję działalność z godną uznania energiją, a udzielając swym członkom nietylko materyjalnej lecz nadto moralnej i umysłowej pomocy, daje wybitne dowody rzeczywistego pożytku, — dowody, które bogdajby innym naszym korporacyjom posłużyły za wzór i przykład *zjednoczonego działania*.

* *
*

Staraniem J. I. Kraszewskiego przy uniwersytecie rzymskim, ma być założone muzeum imienia Kopernika — w którym przechowywane będą wszelkie, po wielkim mężu, pozostałe zabytki. Znakomity powieściopisarz, zbiera podobno skrzętnie wszelkie dowody, świadczące o polskim pochodzeniu Kopernika, celem złożenia tychże w pomienionym muzeum. Będzie to więc może najsilniejszy protest czy argument, odpierający ostatecznie śmieszne intencyje, przywłaszczenia sobie narodowości wielkiego astronoma, objawiane uporczywie ze strony najmilszych... nadsprejczyków. Cześć więc i dzięki zacnemu inicy

— Moja duszko! mówmy głośno, to na nas zwrócą uwagę! — przerwała Leonka i z wielką wprawą, zaczepiła pana Antoniego, dała do myślenia panu Hieronimowi i wprowadziła w ożywioną rozmowę pana Edwarda.

— Co to jest? czemu ona tak uprzejma dla tych panów konkurentów? Nigdy ją taką nie widziałam i nie podoba mi się dziś wcale! Kochając innego, jak można znosić zabiegi i grzeczności wielbicieli?! — monologowała niedoświadczona Emilka. Cały wieczór przemęczyła się, mało mówiąc, i napróżno wysilając umysł na uniewinnienie postępowania przyjaciółki. Leonka manewrowała tak dowcipem i oczyma, że każdy z trzech panów odszedł zadowolony i rzekła potym do niej:

— Jakaś ty naiwna! liczba konkurentów oznacza wartość panny! Niech się durzą! mnie to nic nie szkodzi, owszem — pomaga.

— Leonko! przykro mi że się tak różnimy w pojęciach pod tym względem

— Moje są ogólnie światowe!

— Lecz igrać z czudzym uczuciem, to zbrodnia.

— Wyegzaltowałaś się w tych czasach! Jesteś melodramatyczną! — zauważyła Leonka. Wierz mi, to śmieszne!

— Leonko! — rzekła z uczuciem nagłéj przykrości Emilka i miała chęć płakać — nie szydź ze mnie! Wspomnij na święte przymierze nasze na jednaką myśl jaka była zawsze w naszych sercach...Czyżby tak wszystko na świecie się zmieniało?.. Pamiętam! obie z siostrą, kiedyś, stanowiłyśmy jednę istotę, kochaliśmy się, jak powinny siostry — bliźniaczki, nie usnęłyśmy bez wzajemnych uściśnień... Dziś! przepaść ją oddziela odemnie! wyrzekam się jéj niestetety prawie bez bólu, tak jesteśmy różne od siebie! Teraz ty siostro z ducha, powierniczko, przyjaciółko moja, postrzegasz we mnie śmieszności witasz mię chłodno, okropne wygłaszasz zasady — i — jeśli mi jeszcze raz powtórzysz żem melodramatyczna, wyrzeknę się znów ciebie! — kończyła ze łkaniem.

— Cicho! co znowu! Ale ja cię zawsze kocham! — Daj-że pokój! świat ma swoje konwenanse, których się mimowoli wyuczyłam, ale to nieprzeszkadza naszej przyjaźni! No! nie płacz! Niewdzięcznica! chce się mnie wyrzekać! Widzisz, jakaś ty nie dobra! A ja mam coś miłego dla ciebie!

To mówiąc Leonka uściskała przyjaciółkę gorąco i podała jéj fotografiję Albinka.

— Ah! źle zrobiony! — zawołała mimowoli Emilka.

— Owszem! piszę że wybornie! Musiał się odmienić —

— Ale to nie podobna nie miał takiego wyrazu! to wada fotografii.

— Słuchaj Emilko! ty zanadto wglądasz w siebie, a zamało patrzysz na świat i dlatego wszystko ci się wydaje nie takim jak być powinno według marzeń twoich! Strzeż się Emilko! weźmiesz nieraz dynię za melona, i jedząc będziesz rozpaczać że bez smaku! — mówiła dobitnie Leonka.

— Nie! nie jestem optymistką! Ale szukam dobra, piękna i prawdy na świecie!

— Nie egzaltuj się i nie rzucaj! Mówię ci, idź utorowaną drogą po drodze życia!

— Nie chcę i nie mogę! Pójdę tam, gdzie moje oczy dopatrzą piękno, moje serce prawdę odczuje!..

— Wiesz? jesteś zwolenniczką postępowych idei, z których się ludzie wytrawni śmieją!

— Tak! wyznaję zasady które się godzą z moim sumieniem; uczuciem i rozumem! Niech się śmieją, byle nie ty Leonko! — dodała składając ręce.

— Ja? ja nie rezonuję! Szkoda nawet że poruszyłyśmy kwestyją tak niewłaściwą!

— Tak sądzisz? Mnie się zdaje, że gdyśmy przestały być dziećmi, możemy i powinnyśmy nawet poważniéj zapatrywać się na życie!

— Na co? Ja znów pewną jestem, że wszelkiego rodzaju analiza jest stratą czasu.

— A na czym ci ten czas schodzi? — miała wyrzec Emilka — lecz zegar wydzwonił jedenastą, stłumiła więc słowa, pokryła je westchnieniami i z dziwnym niesmakiem, jakiego doznajemy zawsze, jeśli nasze myśli są niezrozumiane, uczucia nie odczute, lub dowcip pominięty — powstała zabierając się do powrotu.

— Nie masz ochoty wziąć fotografii? — spytała Leonka.

— Nie! bo źle zrobiona! Dla mnie, dodała ciszéj — milszym jest jego portret żywemi skreślony farbami, szlachetnie piękny tutaj:.. gdzie go zawsze mam przy sobie! — i wskazała na serce.

— Czy aby będzie podobny w porównaniu ze sobą! — rzekła śmiejąc się Leonka. Wszak ty i mój portret nasz w sercu, niestety! zbyt wyidealizowany! i dlatego zraziłaś się do oryginału téj pochlebnéj kopii!

— Nie Leonko! tyś podobna do swego wizerunku — tylko... wyznaję! dziś mi cię trochę odmienił fryzyjer, modniarka, i... trywijalna grupa tych trzech lalek!

Leonka ściągneła brwi nieznacznie: — Nie lękasz się wracać samej — spytała nie przedłużając przedmiotu rozmowy.

— Nigdy i niczego nie lękam się! — odparła żywo Emilka

— Ani Boga?

— Bóg jest dobry!

— Ani ludzi?

— I ludzie są dobrzy! Boję się tylko jednego.

— Naprzykład?

— Rozczarowania — ale to nigdy nie nastąpi! Nieprawdaż siostrzyczko?

— Nie mam daru odgadywania przyszłości! — wyrzekła kwaśno panienka i dwie przyjaciółki rozstały się z przymuszonym uśmiechem, z wystudzonym uściskiem. — Odwiedź mię! — prosiła niby czule i serdecznie Leonka, jednak rzekła potym do matki.

— Co się też za dziwoląg wytworzył z téj Emilki! —zmęczyła mię! Jest pedantką i egzaltowaną!

— Słyszałam coście mówiły! Z tego się okazuje, jak źle jest panience być bez opieki! Szczególne pojęcia, brak znajomości praw towarzyskich, śmiałość prawie nieprzyzwoita! Nie zapraszaj jéj do siebie moje dziecko i tobie chodzić do niéj nie pozwolę! — odpowiedziała matka.

— I stanowisko panny do towarzystwa — zaczęła Leonka.

— Ubliżające! Sama winna, że porzuciła dom babki! Owe awantury z wujem bardzo ją kompromitują i ręczę że je sprowadziła sama! to kokietka! co ona mówiła o Albinku?

— A! to przecież pensyjonarski romans! — mówiła ziewając Leonka.

— Czy tak? i ty się wdajesz z tą dziewczyną? Wiesz, że nadto jesteś dobrą pobłażliwą!ale możesz na tym wiele stracić! Złe towarzystwo takiej —

— Co! ona jest tylko egzaltowaną! — przerwała w tonie obrony Leonka.

— Jest kokietką! —osądziła stanowczo matka. — Wiesz, musi malować sobie twarz, bo tak blado przy niéj wyglądałaś —

— Czy tak? — odezwała się z kolei obrażona nieco Leonka, i znać było, że powzięła teraz gorsze wyobrażenie o dawnéj przyjaciółce tego się nie przebacza! taka zbrodnia zwalnia od wszelkich przymierzy! Czyż Leonka może

---

jatorowi podobnej myśli, i podobnie doniosłego dzieła.

* * *

Jedna z matek opowiadała nam fakt, który ze względu na ogólniejsze znaczenie, wydaje się nam być godnym publicznego podjęcia.— „Mam córeczkę 9-cioletnią, dziecko bystre, pojętne i chciwe nauki — lecz niestety, kalekie i chodzące o kulach. Chciałam umieścić ją na pensyi, nie przypuszczając by kalectwo to, miało stanowić jakąkolwiek przeszkodę. Przekonałam się jednak niestety, że tak jest w istocie. Pani właścicielka jednego z tutejszych zakładów, zobaczywszy jeszcze na schodach „panienkę kulawą,“ kazała oznajmić że jej w domu nie ma;—a inna znów, pod rozmaitemi pozorami „odmówiła przyjęcia.“ Notując drobny na pozór, lecz w gruncie rzeczy wiele mówiący ten fakcik, pytamy się pań przełożonych pensyj, czy zakłady ich mają jakie i przez kogo nadane przywileje — co do przyjmowania pięknych lub brzydkich, prostych lub kulawych uczennic?

* * *

Pani O. Z. w liście pisanym do nas, robiąc uwagi nad artykułem pomieszczonym w „Opiekunie“ p. t. „Jakie kobiety pracować mają w rzemiosłach,“ stawia wniosek, że obok kobiet ubogich, obok pracownic, zarabiających krwawo na kawałek chleba, do zakładów rękodzielniczych wstępować niemniej mogą i kobiety bogate. — Zastrzegając sobie na później wypowiedzenie—na ten ważny w istocie temat, kilku jeszcze z naszej strony uwag, poprzestaniemy obecnie na samym skonstatowaniu żądania sz. autorki listu. Otóż pani O. Z. rozbierając pytanie, czy koniecznie panny zamożne, w wyuczeniu się rzemiosła, mają znajdować tylko zabawkę, a nie poważny cel życia? czy nie mogą tym właśnie sposobem pracy, wywiązać się choć w części z obowiązków obywatelskich? przychodzi do odpowiedzi, iż panny bogate w obec braku zazwyczaj wszelkich pożyteczniejszych zajęć, nietylko mogą, lecz powinny uczyć się rzemiosł. Powinny zaś, dla dwu mianowicia powodów: najprzód, dla przyświecania ubogim swym siostrom — „przykładem z góry,“ a powtóre, dla przychodzenia następnie tym ostatnim, to jest ubogim, z praktyczną już i bezpośrednią pomocą, polegającą na zakładaniu np. wspólnemi siłami, nie już w samej tylko Warszawie, lecz i po kraju całym odpowiednich naukowo-rzemieślniczych zakładów. W upowszechnieniu więc pracy rzemieślniczej, *kobiecej*—pani O. Z. żąda czynnej inicyjatywy ze strony kobiet bogatych.—„Dotąd, powiada p. O. Z. uboższe siostry nasze, mogły tylko naśladować dziwaczne stroje, które nam moda nosić kazała, dlaczegóż nie miałybyśmy dać im przykładu uczciwej pracy?“ Dążność, jak widzimy autorki wniosku, przemawia sama za sobą, a żądanie jej jest najzupełniej słusznym. To też tym śmielej pozwolimy sobie odnośnie do myśli pani O. Z. jedne zrobić uwagę.—Jeżeli gdzie, to w kwestyi pracy niewieściej przedewszystkim, wszelki, choćby najzacniejszą myślą przejęty wniosek teoretyczny, o tyle ma zdaniem naszym, istotną pozytywną wartość, o ile równocześnie popartym zostaje działalnością praktyczną. Zasadę tę powtarzamy tu tym śmielej, że pani O. Z. jak jej własne, a przytoczone wyżej słowa przekonywają, należy właśnie do klasy kobiet zamożnych.—Czyby więc szan. korespondentka—owej inicyjatywy, za którą tak gorąco przemawia i którą tak poważnie pojmuje, nie zechciała wziąć np. na siebie? Czyby mianowicie, w najbliższym swoim kółku — myśli podobnej nie mogła poprzeć bezpośrednio i czynnie? Wszak jak wszędzie tak i w tym razie, koniecznym jest jakiś krok wstępny, jakiś pierwszy początek. Jeżeli zaś te z kobiet—które początek taki najskuteczniej i najłatwiej dać mogą, poprzestawać jedynie będą na samym „rzucaniu myśli,“ to kiedyż i od kogo owej żądanej przez panią O. Z. inicyjatywy—możemy się doczekać? Kiedy wreszcie w tej ważnej kwestyi

chętnie wystawiać swą cerę na porównanie ze świeżością kolorów drugiéj? Nie! takiéj próby nie wytrzyma żadna przyjaźń dwu kobiet, choćby zawarta w kolebce, chyba by to były fenomeny płci swojéj! a że Leonka należała do istot rzędu najpospolitszego — więc wyrok zapadł, uznający wszelkie przymierze duchowego pobratymstwa za niebyłe! Biedna Emilka powracająca do domu — nie wiedziała o tym co myśli jéj serdeczna przyjaciółka — tylko czuła jakiś ciężar na sercu, było jéj czegoś smutno, nie mogła odnaleźć porannéj wesołości i swobody. Na wiosennym horyzoncie jéj wyobraźni, po którym dotąd przesuwały się tylko białe, mgliste obłoczki tęsknoty, i maleńkie chmurki przykrości, sprowadzające jedynie trochę łez, podobnych majowym deszczykom — dziś po raz pierwszy, jak po dniu upalnym w początkach lata, smętne, szare tumany pędzone wichrem myśli, zaciemniły widnokrąg. Atmosfera moralna wydała jéj się parna i złowroga — ledwo wyrzekła że się nieboi niczego, gdy raz pierwszy w życiu coś jak strach czy przeczucie ogarnęło jéj młodą, wierzącą duszę. Opuściła główkę i dążyła szybko do domu, jakby chcąc uciec od miejsca, w którym doznała przykrości tego uczucia. Gdy przechodząc mijała cukiernię, dwu panów stamtąd wybiegło; jeden z nich trącił ją i zamiast naprawić swą nieuwagę przeproszeniem ze zwykłą grzecznością — on zajrzał jéj pod kapelusz z zuchwałością i chęcią zaczepki. Przerażona, drgnęła i uciekła szybko — lecz rozrumieniona i cyniczna twarz natręta odbiła się w jéj źrenicy i wzbudziła jakieś wspomnienie: — Ah! — rzekła do siebie — to Tarcio Rozenheim! pijany! — dodała przypominając sobie zapach jaki ją owiał przy zbliżaniu twarzy tak różnéj od tej którą widziała rano u eleganckiego gościa pani Zefiryny. — Boże mój! — szepnęła z obrzydzeniem i smutkiem, czyż wszyscy tacy dwulicowi? czy to prawda co nieraz słyszałam o hipokryzyi na świecie?..

Wieczór ten był dla Emilki pamiętny i ważny. Po raz pierwszy jej bezgraniczna i czysta wiara w ludzi i w siebie, zachwiała się. Biedactwo tak była dotąd ufająca, niewinna i prostoduszna! Jestto zwykły wynik i dobra strona tego rodzaju wychowania jakie odebrała, że istota z gruntu zacna, dłużej zachowa tę barwę dziewiczą serca i duszy, bo rozwijają się one swobodnie bez wpływu opieki, powtarzającej nieskończone ostrzeżenia o niegodziwościach i próżni tego świata — ale ma to znów zarazem tę złą stronę że ci, komu najwięcej broń potrzebna, osobiście i samotnie idący walczyć w szeregi, nie mającej nikt im z własnego arsenału nie pożycza, bezbronni i nieprzygotowani muszą rozpoczynać swe zadanie. —Tak było z Emilką. Jakim jest świat moralny, jakie czyny ludzkie? Nikt jej nie mówił, tylko umysł i serce naturalnie w sposób właściwy ich przymiotom, to jest jaknajlepiej, idealnie, święcie. A tymczasem, los ją narażił na spotykanie się z całym zastępem różnorodnych przejść, charakterów, wydarzeń, sprzecznych z szlachetnym pojęciem o prawdzie, istocie i powinności ludzkiéj. Bohaterkę naszę czekało życie przykre, ciężkie, twarde, a ona szła uśmiechając się doń — bo była *bez opieki!*

Dla kobiety — jestto dziwny dar — niby medal wyrzeźbiony na jednej połowie godłami siły charakteru, prostoty myśli, podniosłości ducha, samodzielności — a na drugiéj mający postacie zwątpienia, sieroctwa, smutku, prześladowania, rozpaczy, a niekiedy i hańby! —

Przeznaczenie zawiesiło ten talizman mający wszystkie najlepsze i najgorsze własności, na szyi jednéj z siótr bliźniaczek — zobaczym jakie ze swego położenia wyciągnie korzyści lub poniesie straty — a teraz chodźmy za nią do jej pokoiku, gdzie siedząc samotnie duma z pochylonym czołem:

— Ah! Leonka się zmieniła!.. z dawnéj Lucynki niema śladu... Albinek taki dziwny na fotografii... ów niby zacny Turcio bywa pijany i impertynencki... rozumny pan Eugienijusz jest zazdrosnym brutalem... poczciwa na pozór pani senatorowa umie brzydkie prowadzić intrygi!.. Oh! jak to wszystko dziwi, smuci, niepokoi! — Co tu wątpliwości! drobnych lecz dotkliwych zawodów! nawet tego, czego się najbardziej każdy lęka — rozczarowań!..

(*D. c. n.)*

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

O jąkaniu się.

Wiadomo, że u dzieci, a nawet i dorosłych osób dość często spotykającą się wadą jest jąkanie się. Wada ta, jeżeli się zbyt przez zaniedbanie rozwinie, wielki wywiera wpływ na naukę, zdolności, a nawet i charakter osób nią dotkniętych, jak to później postaramy się okazać. Zdaje nam się zatym, że uwagi nasze nie będą pozbawione pewnego użytku dla sprawy wychowania, tymbardziej, że piszący te słowa dawniej posiadający tę wadę w wysokim stopniu, a i dziś nie zupełnie od niej wolny, usilnie starał się zbadać różne sposoby ułatwiające odzwyczajenie się od tej choroby tak przykrej i dla dotkniętych nią i dla otaczających osób. Tym śmielej odważamy się wypowiedzieć tych uwag kilka, że mieliśmy sposobność przebywania przez długi czas z paru osobami jąkającemi się, jak i uczenia przez dość długi przeciąg czasu dzieci, z których jedno, przez cztery lata, do dziś dnia, było przedmiotem niemal codziennej naszej obserwacyi i dotąd mimo usilnych starań nie pozbyło się zupełnie tej wady. Wprawdzie nie z wielkiej liczby przykładów wyprowadzamy swe wnioski, ale sądzimy że badanie kilku indywiduów przez czas dłuższy, pozwoli nam dostatecznie ocenić samą naturę jąkania. Zresztą wiadomo że jest prawie niepodobieństwem mieć do czynienia z większą liczbą jąkających się indywiduów, z wyjątkiem wypadków o jakich niżej powiemy.

Jeżeli baczną zwrócimy uwagę na wymowę jąkających się, to przekonamy się, że oni albo mogą wydawać wszystkie dźwięki i głoski, albo oprócz zwykłego jąkania się nie wymawiają jeszcze niektórych liter. Ten ostatni przypadek w porównaniu z pierwszym jest bardzo rzadki i dla tego głównie zajmiemy się pierwszym; zresztą niezdolność do wymawiania pewnych głosek nie jest właściwie jąkaniem się, lecz wadą organiczną, która może lub nie może być usuniętą, lub wreszcie powstała z tych samych przyczyn co i jąkanie i w takim razie zawsze w mniejszym lub większym stopniu usuniętą być może.

Zanim zbadamy co jest przyczyną zająknięcia się w danym wypadku przy wymawianiu jakiegoś wyrazu, powiedzmy słów parę o przyczynach jąkania się wogólności. Mogą niemi być: choroba ciężka, wpływy moralne i naturalne, lub wreszcie proste przyzwyczajenie. Naszym zdaniem przyczyną jąkania się nie może być wada organiczna, z tej prostej przyczyny, że jąkający się jest w stanie wszystkie dźwięki wymawiać, i że ten sam dźwięk gdy w jednym razie wymawia z trudnością, w drugim wymówi bardzo płynnie. Gdyby zaś przyczyna leżała w budowie organizmu, to powinny by być dźwięki które jąkający się zawsze wymawia z trudnością. Prawda że niektóre

---

doczekamy się jakichś szerszych rezultatów praktycznych? Niech więc sz. propagatorka pracy niewieściej, urzeczywistnieniem swego ze wszech miar zacnego wniosku, zajmie się bliżej—niech *pierwsza*, przy pomocy podobnie jej myślących, rozwinie w tym kierunku, dążność czynną, *w dążności tej wytrwa*, a krok podobny, stawszy się najskuteczniejszym bodźcem dalszej na tym polu działalności, będzie miał w gruncie rzeczy donioślejsze może znaczenie, nad całe tomy napisanych już u nas w „kwestyi kobiecej,“ dzieł i dziełek, rozpraw i rozprawek.

* * *

Jeden z prenumeratorów naszych, uskarża się na niedokładność informacyj kalendarzowych—odnośnie mianowicie do części astronomicznej. Podług np. kalendarza Rodzinnego z r. b. zmiany księżyca przypadają o parę dni wcześniej, aniżeli chce tego kalendarz „Domowy i Gospodarski.“ Kalendarz Rodzinny twierdzi, np. że w dniu 10 Października, o godz. 10-ej min. 34 przed południem—będziemy mieli zaćmienie słońca u nas widzialne, — gdy natomiast „Domowy i Gospodarski utrzymuje, że nie 10-go, lecz 9-go o godz. 0 min. 54 w nocy. Panowie wydawcy kalendarzowi, robią na tych nakładach świetne zazwyczaj interesa.— Czyby więc niezgodności a raczej niedokładności podobnych, nie zechcieli uwzględnić?!

* * *

Jeżeli nie pomijamy milczeniem żadnego, ogólniejsze dobro na celu mającego projektu, to tym chętniej, tym skwapliwiej, pospieszamy z wiadomością, gdy projekt taki przyoblekа się w życie. — Wspominaliśmy niedawno o zamiarze utworzenia w Kaliszu, Towarzystwa wzajemnego kredytu, na wzór istniejącego w Warszawie. Otóż obecnie możemy już zaznaczyć. że zamiar ten bliskim jest rzeczywistości. — Przedewszystkim godnym jest uwagi, rozważne i umiejętne wzięcie się do rzeczy, ze strony pierwotnych projektodawców pp. Wincentego Prądzyńskiego i Aurelego Hoszowskiego, — którzy wezwawszy kilku obywateli ziemskich i miejskich, kilku nadto negocyjantów, urzędników i kupców, przedstawili im swój projekt, celem wywołania narady: czy instytucyja podobna może istnieć w Kaliszu, samoistnie, czy też ma stanowić filiję Towarzystwa wzajemnego kredytu warszawskiego. Po długiej i ożywionej dyskusyi, zdecydowano ostatecznie, że instytucyja kaliska, ma być samodzielną, i wybrano równocześnie tymczasowy komitet, którego zadaniem będzie, tak wyjednanie u Władzy sankcyi projektu ustawy—jak niemniej zebranie odpowiedniej liczby członków (najmniej stu), oraz zwołanie ogólnego zgromadzenia, celem ustanowienia zarządu i administracyi. — Jak widzimy, umiejętnie podany ten projekt jest już co najmniej w połowie przygotowawczej drogi... Oby więc co rychlej wszedł on na drogę życia, oby, tym sposobem, anormalny dzisiejszy nasz kredyt, przemieniał się, chociażby zwolna, w racyjonalny impuls zdrowej, ekonomicznej pracy.

* * *

Do projektów bliskich urzeczywistnienia należy również i od bardzo dawna zapowiadana giełda produktów. Przed dwoma wprawdzie jeszcze miesiącami, na ogólnym zgromadzeniu giełdowym, zdecydowano i postanowiono utworzyć giełdę produktową natychmiast; „*natychmiast*“ to jednak, było widocznie wzięte w jakimś innym znaczeniu, czy też... w znaczeniu *tak zwanego* „zaraz....“ Bądź co bądź jednak, dziś możemy się już pocieszyć. Jak upewnia „Gazata Handlowa“ ze strony Komitetu Giełdowego, zrobionemi są w celu otwarcia giełdy wszelkie przygotowania, i brak tylko niektórych niezbędnych przedmiotów, a głównie wagi do zboża, która w tych dniach ma nadejść z Gdańska. Ha... mogliśmy dłużej czekać na giełdę—poczekajmyż więc teraz, krócej zapewne (?) na... wagę zbożową!

dźwięki, zająkliwi po większej części stale źle wymawiają, jednakże przy pewnym usiłowaniu mogą je i dobrze wymówić; zatym usiłowanie to ciągle powtarzane doprowadzi w końcu do wprawy przy której dźwięk ów można wymawiać bez trudności. Nigdy nie zdarzyło nam się zauważyć dźwięku, lub litery, któreby zająkliwy zawsze źle wymawiał, pomimo usiłowania. Wada organiczna mogłaby być tylko przyczyną niemożności wymawiania lub wymawiania złego, co, jak powiedzieliśmy, właściwie jąkaniem nie jest, i jedyną radą w takim przypadku jest pomoc lekarska lub też rady nie ma. Takie więc przypadki jako nie wchodzące w nasz zakres pomijamy. Przyjąwszy za zasadę, że ogólne przyczyny jąkania się nie są stałe i nie należą do tych, którychby usunąć nie było można, powinniśmy przyjść do przekonania, że z wady tej można się zawsze wyleczyć zupełnie, lub przynajmniej otyle, oile inteligencyja, wychowanie i. t. p. wpływy, o których jeszcze powiemy, na to pozwalają.

Podaliśmy wyżej że jedną z przyczyn jąkania jest ciężka choroba. Że tak jest, piszący te słowa wie o tym z doświadczenia, gdyż z tą przykrą wadą wyszedł po chorobie krupem lub grypą zwanej, gdy poprzednio wymawianie tak pod względem poprawności, jak i płynności mowy było zupełnie dobre. Łatwym to jest do wytłomaczenia. Wiadomo, że w czasie tej ciężkiej choroby, mowa, nietylko że jest niezmiernie utrudnioną, ale nawet niemożebną; dziecko zaś będąc zupełnie przytomnym na umyśle i wogóle zdrowym na ciele stara się ciągle mówić, to użalając się na swoje cierpienia to żądając pomocy. Przy tak wielkich wysiłkach w czasie mowy i przy braku tchu nie łatwiejszego jak nabyć tej wady. Przekonamy się nieco niżej, że brak powietrza, lub nieumiejętne użycie oddechu w czasie mowy jest jedną z najgłówniejszych przyczyn bezpośrednich do zająkliwego wymawiania wyrazów. Zdawałoby się, że po ustaniu choroby i mowa powinna do dawnego stanu powrócić, ale, przyzwyczajenie się w czasie choroby i utrudniona mowa po jej ustaniu, wpływają na późniejsze jąkanie się i to ostatnie, w miarę usiłowań poprawy lub zaniedbania, znika, lub w tym silniejszy nałóg się zamienia. Choroba zatym działa tu jak przyzwyczajenie, które może i bez żadnej słabości organizmu nastąpić, jak to zaraz zobaczymy. Żeby inne choroby miały być przyczynami jąkania się, nie zdarzyło nam się zauważyć, lubo jest bardzo prawdopodobnym, że wpłynąć one na to mogą a szczególniej np. tyfus.

Wiadomo, że po tyfusie niektóre osoby całkiem mowy zapominają lub niektórych jej części jak to świadczą lekarze. W tym razie jednak prędko stosukowo dobra wymowa wrócić powinna, gdyż zła, nie jest skutkiem przyzwyczajenia, lecz utraty pamięci. Również jest prawdopodobnym, że choroby mózgu, czy to powstałe w skutek silnego wstrząśnienia czy innych przyczyn mogą wpłynąć jeśli nie na nabycie jąkania się we właściwym jego znaczeniu, to na inne wady mowy, lecz te, tak ze swej natury, jak i z tego względu, że muszą być połączone z wadą umysłu, powstałą z tej również przyczyny, nas tu mniej obchodzą. Trudno przypuścić aby inne dolegliwości ciała mogły mieć wpływ na jąkanie się; możemy więc przyjąć że z chorób, krup głównie jest jąkania przyczyną.

Ażeby dziecko ustrzedz od nabycia tej wady z powodu krupu, należy mu zabraniać mówić dopóty dopóki ono z wysileniem tylko odzywać się może. Zresztą przypadki takie choć nam dwa są znane, zapewne zdarzają się rzadko, i dla tego nad tym dłużej zatrzymywać także się nie będziemy, a wspomnieliśmy głównie dlatego żeby okazać, że z chorób, do jąkania przyczynia się ta właśnie najbardziej, która z oddychaniem ma najściślejszy związek. Na dobre użycie oddechu położymy wielki nacisk.

Ważniejszemi wpływami bo zdarzającemi się częściej, są wpływy moralne i naturalne; pod temi ostatniemi rozumiemy dziedziczność wady jąkania się, a że dziedziczność tego rodzaju istnieje, przekonaliśmy się na kilku przykładach, mianowicie w jednej rodzinie zauważyliśmy, że wszyscy jej członkowie w mniejszym lub większym stopniu wadę tę posiadali. W takim razie przyłączają się zwykle i wpływy moralne, które i na wyrobienie zdolności, ich kierunek—i na charakter wpływają; nawet one to jak zobaczymy pozorną dziedziczność powodują. Zarówno zbadanie tych wpływów, jak i określenie ich jest dość trudnym, co stąd pochodzi, że doświadczalnie, w zmysłowym pojmowaniu tego wyrazu, okazać ich nie możemy, a musimy się zadawalniać przekonaniem wewnętrznym, że jedne fakta, które nastąpiły po drugich, są ich skutkiem właśnie. Ośmielamy się jednak rzucić tych myśli kilka, w przekonaniu, że jeżeli rozumowanie nasze jest błędnym, to zastąpione będzie w niedługim czasie przez lepsze, a może je właśnie przyśpieszy.

Jeśli na dziecko krzyknąć nagle z gniewem domagając się, czyto przyznania się do winy, czy w innym celu, to każdy zapewne zauważył ze odpowiedzi takiego dziecka są jąkające się wtedy szczególniej, jeżeli z natury dziecko jest lękliwe; że choćby było niewinne i co do wymowy, nic nie pozostawiające do życzenia to jednak zająknie się zawsze.

Postaramy się rozebrać jaki zachodzi proces w główce dziecka w tym razie. Na krzyk gwałtowny, pierwszym wrażeniem i najsilniejszym zarazem, będzie przestrach, który na chwilę, choćby przypuśćmy na sekundę tylko, odbiera dziecku przytomność umysłu i władzę sądzenia o tym co się zawierało w pytaniu, które w tak gwałtowny sposób rzuciliśmy. Pytanie to z natury swej domaga się jak najszybszej odpowiedzi—dziecię więc wprzód przychodzi do przekonania, że ma odpowiadać szybko, za nim wie co i w jaki sposób ma odpowiedzieć. Zacząwszy więc mówić jeden lub kilka wyrazów, nie wie jeszcze jakie wyrazy mają nastąpić w dalszym ciągu, tymbardziej, że i pierwsze zwykle nielogicznie były zaczęte. Będąc zaś w tej chwili pod naciskiem moralnym i niechcąc przestać mówić, z obawy że milczenie jego tym większy gniew obudzić może, powtarza sylaby, lub wydaje dźwięk jakiś, przedłuża go, zanim uplanuje sobie, co mu dalej powiedzieć wypada. Widzimy więc, że dzieci lękliwe, przez niewłaściwe obchodzenie się, z niemi, można doprowadzić do jąkania się a przez często powtarzane podobne wypadki, na stałą to wadę zamienić. Niektóre zaś dzieci, jeśli je z groźbą, wywołującą strach, o coś pytamy, zupełnie nie odpowiadają bo w wyższym stopniu są lękliwemi; milczenie dziecka powiększa w nas gniew, a dziecku odbiera zupełną przytomność umysłu, co znów my za upór bierzemy. Znamy idyjotkę, która swój stan umysłu, tylko sposobowi wychowania swej macochy zawdzięcza. Czytelnicy przypominają sobie zapewne oburzające zdarzenie z chłopcem wiejskim, o którym gazety nasze wiadomość podawały; prawdopodobnie zostanie on na zawsze idyjotą. W takich więc wypadkach, nam się zdaje, łagodnością tylko i bezgraniczną cierpliwością z dzieckiem, możemy zrobić to, cośmy zamierzyli. Są to przymioty nieodzowne, a które, dobrze nam wiadomo, trudne są do nabycia. Ten sam wyżej opisany proces następuje, jeśli dziecko chce skłamać, co już łatwo sobie wytłomaczyć. Tu mimochodem rzucimy uwagę, że nie zawsze możemy sądzić o dziecku, że kłamie, jeśli odpowiada jąkając się, lub nawet, zbija jedno zdanie tuż wypowiedzianym drugim, Pamiętajmy że dziecko jeszcze nie umie systematycznie zawładnąć myślą i mową boć nietylko dziecko ale i dorośli nawet zdolni ludzie, przez nieumiejętne grupowanie swoich myśli, źle czegoś dowodzą lub się nawet zbijają.

(d. c. n.)

BEZ TYTUŁU.

....„Wy jesteście narodem wielkich panów, zbyt wielkich abyście się mogli sami zajmować czymkolwiek. Wyręczać się, to wasza natura; bez wyręczycieli żyćbyście nie mogli. Wyręczamy was też w pracy, w eksploatowaniu zasobów waszych, wyręczamy w myśleniu... Nie przerywaj mi pan. Wyręczamy chętnie...— Wam pozostaje cała poezyja życia, możecie się cieszyć ideałami swemi, rozpierać się dumnie, to stosownie do okoliczności, My was wyręczamy i w prozie życia dopóki będziecie mieli czym płacić. Długo jeszcze będziecie mieli czym płacić?"

Tak od niechcenia puszczając dymek z krótkiej fajeczki, łamaną polszczyzną prawił mi jakiś jegomość w fantazyjnej czapeczce, okręcony szalem,—w wagonie drogi żelaznej. Ton jego mowy i cyniczny wyraz twarzy, nadawał słowom jego cechę pogardliwej litości. Zakołatało mi coś w piersi, gorąca fala uderzyła do głowy, oburzenie jak po doznanej zniewadze zagrało na wszystkich nerwach mego ciała,

— Fałsz! zawołałem tłumiąc głos, pan nie znasz narodu, nie znasz jego ducha, przeszłości jego, życia i dążeń jego. Jeżeli głosisz takie opinije to znak że się zapatrujesz na nas okiem szczęśliwego wyzyskiwacza, korzystającego z nieszczęsnych dla nas okoliczności!

— O! polska zapalczywość, przerwał mi ze śmiechem jegomość wyciągając do mnie rękę której prawdę mówiąc niebardzo chciało mi się uścisnąć. Ja lubię was jednak za waszę krew gorącą i dobre serce, nawet za waszę nieszkodliwą butę i prędko gasnący zapał. Pan się już nie gniewasz?

— Nie gniew to panie, ale uczucie krzywdy. Ja nie znam pana lecz przypuszczam że ci posłużyło szczęście pod naszym niebem; wyjeżdżając więc, zwyczajem swych ziomków obrzucasz nas błotem...

— Stara śpiewka zawołał cudzoziemiec nie dając mi skończyć, śpiewka popierająca tylko moje twierdzenie. Mógłbym się obrazić ale nie uczynię tego, gdyż oburzenie pańskie ma skąd inąd szlachetne źródło. Do żadnej narodowości na seryjo się nie zaliczam, więc przymówka do moich ziomków szkalujących was, nie dotyczy mnie wcale. Jestem szczery, tak mówię jak mię zmuszają myśleć moje spostrzeżenia, a że się nie mylę dowiodę panu w trzech słowach. W pieniężnych obrotach, w handlu, w interesach prywatnych nawet, wyręczają was żydzi, w przemyśle a potroszę i w rolnictwie—niemcy, w tworzeniu pojęć, umysłowej pracy, w wychowaniu waszych dzieci, francuzi i w ogóle...

— Otóż ja teraz przerwę panu, odezwałem się tryumfująco. Żydzi to krajowcy lub będą niemi wkrótce, podnoszący się rodzimy przemysł i wzrastająca agronomiczna wiedza coraz mniejsze zostawia pole niemczyźnie, a co do francuzów,—to już minęły owe czasy chyba pan nie zna teraźniejszego naszego życia.

— O naiwności polska łudząca się pozorami! Kiedyż to wpływ cudzoziemczyzny silniejszy był u was? Nie mówię już o słusznym przyprzypływie pojęć europejskich, nie mówię o modzie francuskiej, której cały świat hołduje ale czyś się pan nigdy nie zastanawiał nad prostym faktem nawału francuzek, szwajcarek niemek, angielek przybywających do was codziennie w charakterze bon i guwernantek, wypisywanych hurtem, rozrywanych z chciwością.

Gdyby na komorach pobierano cło od tego towaru zaręczam że dochód wyrównałby dochodowi od galanteryjnych wyrobów. A wiesz pan co, lichy to produkt, nie wiem jak wy to uważacie... Wprawdzie guanem sprowadzonym z daleka użyźnia się rola, być może że wy podobnie traktujecie niwę wychowania. Słyszałem że podlewając marzanną korzenie drzewa, zabarwia się je bardzo pięknie; wy ten eksperyment przeprowadzacie z zupełnym skutkiem. Korzyści są jednak widoczne. Założyłbym się że z większą połową osób jadących z nami mógłbym się po francusku rozmówić: zawsze to grzeczność z waszej strony. Tak!...

Ostatnie frazesa domawiał mój interlokutor już zupełnie niedbale podczas gdym się zbierał na odpowiedź, założył pinz-nez i z uwagą przypatrywać się zaczął pretensyjonalnej jakiejś osóbce płci żeńskiej, siedzącej opodal w wagonie.

— Ale porzućmy spory, rzekł, patrz no pan na tę, w niebieskim kapelusiku.—Kiedyś była niczego, dziś już dobrze podszarzana; przysiągłbym że guwernantka francuzka jadąca objąć posadę. Właśnie patrząc na nię skierowałem rozmowę na ten przedmiot, pominąwszy inne gałęzie naszej kwestyi. Tu odkrząknął ułożył twarz do miodowego uśmiechu, i słodkim głosem rzucił kilka słów ku będącej w mowie osóbce, w czystym nadsekwańskim dyjalekcie. Odpowiedziano mu w tym samym niezrównanym narzeczu z wdzięcznym rzutem głowy i uśmiechem odkrywającym wszyściutenieczkie zęby.

Tymczasem lokomotywa zbliżając się ku stacyi zarżała przeciągle, zwolniły koła pociągu i za parę minut znalazłem się u mety mej podróży.

Muszę wyznać ze wstydem że nadzwyczaj wrażliwego usposobienia; pod wpływem rozmowy z kosmopolitą wysiadłem na platformę dziwnie rozdrażniony i nieswój. Z troskliwością człowieka nieobytego z kolejową podróżą zacząłem się krzątać za rzeczami swemi wśród ruchu i gwaru, a fatalność czy zrządzenie Opatrzności mieć chciało iżby dusza moja po same brzegi wypełniła się goryczą. Francuczczyzna jak deszcz z wiatrem chłostała moje wrażliwe nerwy.

Tu jakaś dama woła na męża aby jej kazał dać szklankę bulijonu; tu ktoś nawołuje kogoś, tam rozlegają się powitania i pożegnania a wszystko to po francusku. Ktoś ze służby kolejowej nadeptał mię i przeprosił po francusku, tam znów jakaś Lionka z rozwianą grzywą stoi na stopniach wiodących do banhofu i przestrzega w tym szlachetnym języku stojące koło niej dziewczątka niespokojne w oczekiwaniu na rodziców, przedzierających się do nich przez tłumy, z rozpaczą i trwogą spoglądam na niosącego za mną rzeczy posługacza aby i ten nie odezwał się do mnie po francusku. Duszno mi było. Oglądam się trwożliwie aby nie spotkać jegomościa w fantazyjnej czapeczce wypijam jednym tchem podaną mi herbatę i rzucam się w bryczkę oczekującą mię na stacyi.

Wśród pól szerokich orzeźwił się umysł, tchnienie lasów i łanów szumiących zbożem i wiosek bielejących w bukiecie sadów ocuciło mię i wywiało gorzkie myśli. Tam w dali jakieś zwaliska szare, tam połyska krzyżyk kościelny, tu wystrzelona w górę kolumna snuje z siebie gęsty obłok rozciągający się po niebie a tam gdzieś wśród zieleni pełznie po błoniach poważny tabor po żelaznej drodze. Pierś napełniła się otuchą, zapomniałem na chwilę o trapiącej mię postaci cudzoziemca. Czemuż znów wraca. Oto mijam piękną sadybę wiejską, szeroki dwór patrzący wielkiemi oknami z pośrodka lip, topol i świerków, uśmiechający się szczerze staroświeckim gankiem, i oto w mej wyobaźni widzę kosmopolitę jak pokazuje mi z przekąsem to gniazdo i chce się ze mną zakładać iż wszedłszy tam usłyszę w dziecinnym pokoju „tener vous droite, que faites vous” lub coś podobnego, a przy stole rozmowę o paryskich restauracyjach; że w salonie „journal des modes” zobaczę obok procesu marszałka Bazaine'a, że większa część chłopów tej wsi, wie że wyrażenie „vilin paysan“ oznacza ich nazwanie, a proboszcz miejscowy chcąc nie chcąc musi przyznawać cudowność wody z Loudes.

(d. c. n.)

KRAJ I JEGO CIEKAWOŚCI.

I.

WYCIECZKA DO SULEJOWA

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

Ślicznie jest położone dawne miasteczko Sulejów nad Pilicą. Zbudowane po obu stronach szerokiej rzeki przez którą most przechodzi, ujęte ramą wzgórz, porośniętych krzewami róż dzikich jałowcu lub osiny, wśród topól wierzb i jabłoni, kąpie się w zieloności i przegląda w czystym zwierciadle wód wijącej się tu olbrzymim wężem Pilicy. W nizinie zalegały szeroką ławą wydmuchy żółtego piasku, ponad któremi ciemnieją piękne lasy, ciągnące się z obu stron szosy ku Piotrkowu. Domeczki i dworki w malowniczym nieładzie, lśnią z daleka białością ścian, którym bielidła dostarczają kopalnie wapna, źródła głównego bogactwa miejscowego. Obfite kłęby pary unoszącej się z tych kopalń, wieszając się niziną w przejrzyste, długie smugi, podnoszą jeszcze piękność już i tak pięknego krajobrazu.

Przybywającemu od strony Wielkiej Woli, zaraz z lasku ukazuje się w dole całe miasteczko jak na dłoni; — parę piętrowych kamieniczek podnosi się ze środka niziutkich domków, na lewo wybiegła w góre wieża kościoła parafijalnego, na wzgórzu stojącego, a obok niego obiecująco wygląda facyjata plebanii wychylającej się z pośród drzew.—

Z prawej strony, o jaką wiorstę odległości, rozsiadły się na wzniesieniu imponujące ogromem, wielkością potężnych baszt, wież, i wieżyczek, zwaliska klasztoru Cystersów, stanowiącego niegdyś jedno z większych i bogatszych opactw dawnej Polski. Pod niemi lśni srebrna wstęga Pilicy,— górą na prost klasztoru, widno z po za jałowców wierzchy kominów i szarych strzech wioseczki zwanej Podklasztorzem.—

Taki jest wogóle widok miejsc, do których, wiedziony ciekawością, przybyłem wraz z panem G. towarzyszącym mi w tej wycieczce.—

Było dość późno, kiedy zaturkotała bryczka w ulicach pogrążonego w najgłębszym śnie Sulejowa. Godzina w nocy 11, do tego w Listopadzie, dla małego miasteczka stanowi prawie północ,— nic przeto dziwnego że w ulicy było pusto, głucho, a przytym ciemno, choć oko wykol. Na domysł zatrzymaliśmy się przed piętrową kamieniczką, na której dał się widzieć w ciemności duży szyld winnego grona. Pan G. który tu kiedyś bywał, poszedł dopomnieć się w imię zawieszonego znaku o gościnność. Po półgodzinnym macaniu, kołataniu i odzywaniu się, nareszcie błysnęło przezedrzwi światło, rozsunięto przed nami rygle, wprowadzono na piętro do numeru, i wkrótce, znużeni kilkogodzinną jazdą, poszliśmy spać, zwiększając liczbę używających wczasu spokojnych mieszkańców tutejszych.

Nazajutrz skoro dzień byliśmy już na nogach. Okno mieszkania wychodziło wprost na cel wycieczki naszej, ruiny opactwa i klasztoru. Kąpały się one we mgle podnoszącej się z Pilicy i w srebrnych smugach wapiennej pary, które aż tam pociągnęły. Smukłe wierzchołki wieżyc i szczyty potężnych baszt, rysowały się ostro ponad niemi, krajobraz był wspaniały.

Nie tracąc czasu, załatwiliśmy się z herbatą, którą wraz z wrzącym samowarem i ciepłemi jeszcze bułeczkami nam podano,— a wziąwszy ołówek i tekę, podążyliśmy w stronę klasztoru, dokąd droga dołem po pod wzgórzami o jakich już mówiłem prowadzi.—

Odgłos dzwonka zwiastującego mszę poranną, rozległ się w pośród ruin, przyspieszyliśmy więc kroku — a za nami ciągnął staruszek jakiś, weteran, oczywiście na modlitwę także. Nie mogąc tak zaraz znaleźć wejścia do środka murów, zaczepiliśmy staruszka:

— A którędy tu ojcze idzie się do kościoła?

— Tędy panowie, dołem popod mostek,— jest w murze wyłom którędy panowie wejść możecie.—

— Tak się tu ojcze rujnuje wszystko i zapada,— patrzcie jaki to loch zapadnięty, co tu gruzów!—

— Ha! — było tu inaczej kiedyś, ale teraz wszystko poszło na pustkę i w proch się sypie.

Weszliśmy więc przez wyłom i sypiące się gruzy w olbrzymi dziedziniec, otoczony zewsząd piętrowemi gmachami,— ale nie rozglądając się jeszcze, jakoś bez myśli znaleźliśmy się pod wyniosłym sklepieniem świątyni, do której nas głos dzwonka powołał.— Pusto było i uroczyście cicho, w kąciku siedział jakiś siwy jak gołąb staruszek i modlił się na książce.— Ze zdumieniem powiodłem okiem po łukach sklepienia, po pysznych, odznaczających się powagą i siłą kamiennych filarach, dzielących kościół na trzy nawy; coś niezwykle majestatycznego i potężnego uderzyło mnie zaraz na wstępie.

(d. c. n.)



Wykład ekonomii społecznej napisał Dr. Leon Biliński, tom II.—Lwów 1874.

Gdy przed paru miesiącami pisząc w tym samym miejscu o pierwszym tomie dzieła p. Bilińskiego wyrażaliśmy życzenie rychłego ujrzenia tomu II-go mimowoli wtenczas, nasuwała się nam wątpliwość, czy życzenie podobne w rzeczy samej się ziści Wiemy bo przecież dobrze, w jak to ciasnym *u nas* książki ekonomiczne obracają się kółku, jak słabą poczytnością się cieszą(?). Przyjemnie też zostaliśmy zdziwieni ujrzawszy tom następny w tak krótkim stosunkowo czasie. Wprawdzie na pośpiech wpłynęła w znacznym zapewne stopniu okoliczność, że Galic: Wydział Krajowy zobowiązał się zakupić u autora sto egzemplarzy jego dzieła dla Rad powiatowych a co jak sam autor powiada „ ułatwiło wydawnictwo”; — pomimo to jednak pozwolimy sobie mniemać że i dla dzieł ekonomicznych nadchodzą nareszcie „chwile lepszości” że przeto zapoznanie się z treścią książki pana B. będzie dla czytelników naszych pożądanym podwójnie, zwłaszcza gdy treść ta, jak to zobaczymy zaraz—jest pod każdym względem pouczającą i bogatą prawdziwie.

Autor, jak zaznaczyliśmy pisząc o tomie 1-szym, podzieliwszy pracę swoję na dwie najogólniejsze części, w pierwszej zawarł fizyjologiję gospodarstwa— to jest rzecz o produkcyi spożyciu i reprodukcyi, w części zaś drugiej objął organizm gospodarstwa społecznego —

czyli naukę o stosunkach między gospodarstwami indywidualnemi która znów na trzy odpowiednie dzieli się rozdziały: w pierwszym autor zapoznaje czytelnika ze środkami i charakterystycznemi cechami stosunków gospodarczych, w drugim przedstawione są walki gospodarcze, trzeci zaś poświęcony jest harmonii gospodarczej—i ten też właśnie rozdział, wypełniając całkowicie tom *drugi* traktowanym jest stosunkowo, najobszerniej. I słusznie bardzo autor tak postąpił. Nauka bowiem harmonii gospodarczej, jak z jednej strony opiera się na najnowszych wynikach ekonomiki tak z drugiej znów, dziś, ze względu raczej na dzisiejszy układ stosunków ludzkich, — najżywszy budzi interes, najżywotniejsze i palące obejmuje kwestyje. Podług układu pracy pana B. nauka ta, to jest nauka harmonii gospodarczej, na dwie rozpada się grupy. — Pierwsza zawiera środki przedsiębrane w celu urzeczywistnienia harmonii gospodarczej — administracyjne, druga zaś traktuje o jednym tylko do tego samego celu prowadzącym środku— lecz środku potężnym i jak obecnie najważniejszym mianowicie o associacyi. Z każdą z tych dwóch części oile ramy naszej „biblijoteczki" pozwolą zapoznajmy się bliżej. Przeciw urzeczywistnieniu harmonii gospodarczej stają jak wiadomo—walki gospodarcze—których wyrazem jest wyzyskiwanie i nadużycie wolnej konkurencyi, czyli konkurencyja szkodliwa. Wyzyskiwania są dwie najogólniejsze formy: praca wyzyskiwana przez kapitał czego ostatecznym wynikiem jest pauperyzm—i kapitał wyzyskiwany przez pracę. Konkurencyja zaś szkodliwa sprowadza znów przesilenia handlowe—czyli giełdowe. Przeciw tym to więc ujemnym działaczom—przeciwstawić odpowiednie środki zaradcze — oto cel nauki gospodarczej harmonii. O środkach też tych autor mówi po szczególe uwzględniając tak dawniejsze nieco jak i obecnie przyjęte—i stosowane w praktyce, naukowe zasady. Pierwszym z pomiędzy środków administracyjnych a dotyczących pauperyzmu czyli wyzyskiwania pracy przez kapitał jest jałmużna. Pan B. utrzymując że dobroczynność nie staje bynajmniej w zgodzie z zasadami i dążeniami racyjonalnej ekonomii,—jałmużnę mianowicie prywatną uważa w tym razie za wpływającą najszkoliwiej i żąda by takowa była udzielaną *tylko osobom osobiście przez dobroczyńcę znanym.* Taka tylko jałmużna to jest jałmużna pomagająca do zarobkowania w przyszłości ma wartość gospodarczą inna (prywatna) nie posiada jej wcale. Że zdanie podobne w zasadzie jest słusznym —i codzienną zresztą praktyką stwierdzonem na to najzupełniejsza zgoda: czy jednak dziś już przy dzisiejszym ustroju dobroczynności w ogóle służyć może za ekonomiczny pewnik: —co do tego pozwolimy sobie wątpić. Po jałmużnie następują środki dotyczące przeludnienia—gdzie autor wykłada teoryją Malthusa i teoryją takzwanych federalistów ekonomicznych zajmujących się główne kwestyją przeludnienia a na czele których stoją Morlo Winkelbloch i Schäffle. Ekonomiści ci, w systemie swoim stawiają nauce i państwu trzy zadania: 1) doprowadzić do tego, by tak osoby wolne jak i owdowiałe zawierały dobrowolnie mniej małżeństw, 2) by w zawartych małżeństwach mniej dzieci przychodziło na świat, 3) by rodziło się mniej dzieci nieślubnych. Pierwszy z tych punktów dotyczy jak obecnie kwestyi jednej z najżywotniejszych bo kwestyi ekonomicznego wyzwolenia kobiety nie możemy więc nań w tym miejscu, nie zwrócić choć pobieżnej uwagi. Kobiety wolne idą często za mąż tylko dla pozyskania jakiejkolwiek podstawy bytu tylko *dla utrzymania*;—„przeprowadźmy więc, powiadają federaliści gospodarczą emancypacyją kobiety to jest dozwólmy jej samoistnie zarabiać w zawodach wolnych (lekarzy, adwokatów, urzędników it. d.) a usuniemy pewną ilość małżeństw". Pan Biliński uznając i przyjmując gospodarczą emancypacyją kobiety — emancypacyi natomiast politycznej—„stanowczym jest przeciwnikiem". Opozycyi tej jednak p. B. nie usprawiedliwia wcale i dlatego też—zdanie jego o ile stanowcze o tyle, bądź co bądź odskakujące od zasad istotnie postępowych a co najmniej postawione *przedwcześnie* tym więcej nas zadziwia. Ostatnim z kolei środkiem dotyczącym pauperyzmu są ustawy fabryczne.

Z porządku następuje rzecz o środkach dotyczących wyzyskiwania kapitału przez pracę do których należą zakazy zmów roboczych, sądy przemysłowe i izby robocze oraz środki dotyczące lichwy. O każdym z czynników tych autor daje bliższe pojęcie i szkoda tylko że niektórych swych uwag (odnośnie np. do lichwy) nie objaśnia przykładami zaczerpniętemi z praktyki. Zdaniem naszym— wykład p. B. wiele naówczas by zyskał a dla czytelnika rzecz sama nierównie przystępnejszą stałby się mogła.

Środkami odnoszącemi się do formy wyzyskiwania drugiej—to jest dotyczącemi szkodliwej konkurencyi są: ze strony teoryi: spólność dóbr ze strony zaś praktyki monopole i przywileje tudzież środki administracyjne przeciw przesileniu — Wspólność dóbr (kommunim) względnie do stanowiska jakie dziś w pojęciach i przekonaniach (choćby zresztą błędnych), zajmuje,—jest nader pobieżnie traktowaną. A jakkolwiek p. B. podciągając sumarycznie socyjalistów i komunistów pod miano *pseudo-uczonych* —przyrzeka dać ich poznać bliżej w historyi ekonomii—to jednak, zdaniem naszym, zazbyt może dowolnie nadaną im tę nazwę, należało i w tym już miejscu usprawiedliwić z większą nieco ścisłością. Rzecz o monopolach i przywilejach jak niemniej o przesileniach nie odznacza się zarówno jasnością jak i obszernością wykładu. Uwagi, wnioski zdania i zasady są tu za zbyt zwięźle rzucane a to, w obec języka i stylu pozostawiających wiele do życzenia— czytelnikom — nie obeznanym zwłaszcza bliżej z nauką ekonomiki— może w wielu razach utrudniać *gruntowne* zrozumienie kwestyi. Być może że autor chciał sobie zostawić więcej miejsca na wykład o associacyi który w istocie, zajmuje przeszło ¾ tomu. Nic też przeciwko temu nie mamy. Dziś bowiem gdy duch stowarzyszeń nietylko zagranicą lecz i u nas tak szybko się szerzy i... rozwija — gdy o różnego rodzaju stowarzyszeniach tak wiele mówią i piszą, gdy na ten temat tak mnóstwo rzuca się projektów, staranny i na prawdziwie naukowych podstawach wsparty wykład p. B.—znalazł się, zdaniem naszym jak najbardziej *na czasie.* Autor dawszy tu najprzód ogólne wyobrażenie o przedsiebierstwie" i „towarzystwie" oraz wykazawszy różnice jaka między temi dwoma pojęciami zachodzi mówi następnie po szczególe a rozmaitej natury związkach— uzasadniając ich cel tudzież naukowo—ekonomiczne znaczenie. Znajdujemy tu więc wiele trafnych uwag o towarzystwach ubezpieczeń z uwzględnieniem ich form i rodzajów, —dalej, następuje teoryja o bankach i czynnościach czysto pieniężnych bankowych, jak niemniej o czynnościach instytucyj tych kredytowych — a rzecz mianowicie o kredycie dla produkcyi rolniczej zasługuje na szczególniejszą uwagę— ziemian mianowicie naszych. Cała ta słowem część obejmująca teoryją stowarzyszeń opartych na przedsiebierstwach i towarzystwach opracowaną jest najlepiej i ten też mianowicie wykład pana B. nietylko wielu niedouczonych ekonomistów lecz i wielu niedouczonych albo lepiej *inspe* krytyków ekonomicznych, nie mało nauczyćby powinien. Szczególniej rzecz o kredytowych czynnościach banków zaleca się mnóstwem pouczających szczegółów. Słabszą za to przedstawia się nam część traktująca o stowarzyszeniach gospodarczych. Autor przechodząc kolejno rozmaite kategoryje tego rodzaju związków, — odnośnie mianowicie do ich znaczenia w rzeczywistej praktyce, załatwia się w zbyt że tak powiemy lakoniczny sposób (modo exempli stowarzyszenia magazynowe). Stowarzyszenia zwłaszcza spółdzielcze odgrywając w dzisiejszym ruchu asocyjacyjnym tak potężną, rolę zasługiwałyby podług nas na coś więcej jak na (chociaż dość jasne) lecz za bardzo treściwe i niekiedy tylko pobieżne wzmianki. Nadto dziwi nas dla czego p. B. mówiąc o stowarzyszeniach w Anglii, Francyi, Niemczech i Austryi, nie wpomina choćby, *w najobojętniejszy* sposób o stowarzyszeniach istniejących w Królestwie?—i ogranicza się tylko na nawiasowej wzmiance o spółce szewców warszawskich.

Bądź co bądź, dzieło pana Bilińskiego obejmujące całkowity i prawdziwie systematyczny wykład ekonomii społecznej,—osnute nadto na najnowszych rezultatach nauki, stanowić może dla literatury naszej ekonomicznej jeden z nader cennych nabytków. Pozostaje jedynie jeszcze szanownemu autorowi do uzupełnienia swej poważnej pracy przyrzeczona w tomie pierwszym *historyja ekonomii*—której też z niecierpliwością oczekiwać będziemy. *J. J.*

ROZMAITOŚCI.

— *Towarzystwo drukarzy krakowskich* „*Ognisko* " w roku zeszłym założone zostało. Celem jego jest: podniesienie umysłowego wykształcenia członków, rozbudzenie życia towarzyskiego, jako też obrona i polepszenie interesów materyjalnych. Środki są następujące: urządzanie popularnych wykładów, udzielanie nauki języków obcych, biblijoteka, urządzanie zabaw i gier towarzyskich, pośredniczenie w wyszukaniu zatrudnienia, udzielanie wsparć i t. p. Wpisowe wynosi kop. 60 a opłata miesięczna kop. 30. Podczas choroby członek zwolniony jest od opłaty składek miesięcznych. Jest to zatym pewien rodzaj resursy połączony z kasą wsparcia.

— *Jako środek przeciwko wybuchowi wścieklizny*, po ukąszeniach od psów wściekłych, Dr. Caldwell zaleca przyżeganie rany i zastosowanie kwasu solnego. Dr. Caldwell przywołany do młodej kobiety, niedługo po ukąszeniu jej, przez psa wściekłego, przyżegł ranę, wymył ją i działał kwasem solnym. Wszystkie zwierzęta ukąszone przez tego psa, nawet konie, któremi jechała owa kobieta, dostały wścieklizny, i w krótkim czasie zdechły, kobieta zaś żyje dotąd, i cieszy się najlepszym zdrowiem, pomimo, że od owego wypadku ubiegło już lat 13.—Tegoż samego sposobu używa Dr. C. w innych podobnych przypadkach zawsze z pomyślnym skutkiem. Leczenie tego rodzaju zaleca także Dr. Mormon, używszy go kilka razy z pomyślnym skutkiem.

— Liczbę robót w Warszawie z powodu zbliżającej się pory wiosennej, pomnożą mające się rozpocząć roboty, około dalszej budowy Kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, na który to cel z rozporządzenia Władzy, przeznaczono już rs. 50,000.

Дозволено Цензурою.—W drukarni Opiekuna Domowego.—Warszawa, Nowy Swiat, Nr. 30 (nowy).

Wydawca i Redaktor Henryk Perzyński.